

Kup pan sobie problem

30 maja 2016

Żeby mieć problem nie trzeba w zasadzie wiele robić, wystarczy posiadać trochę gotówki i postanowić sobie za nią kupić coś kompletnie odjazdowego z działu nowoczesnej elektroniki.

Należy naiwnie uwierzyć, że owa elektronika jest właśnie nowoczesna i niezawodna, czyli być kompletnie naiwnym człowiekiem. Producenci sprzętu elektronicznego wiedzą, że ludzie w swej masie nie mają pomysłu by przed kupieniem kamery, pralki, radia czy komputera, skończyć studia na wydziale elektroniki pobliskiej uczelni politechnicznej, więc zapewniają, że ich sprzęt jest przyjazny użytkownikowi („Users Friendly”) oraz, że nie wymaga doktoratu z cybernetyki gdyż jest „Plug and Play” czyli „Podłącz i Heja”. No właśnie... podłącz...

INSTRUKCJA W JĘZYKU ZULU-GULA

Problem zaczyna się właściwie zaraz po rozpakowaniu zakupionego sprzętu, na którym producent napisał, że przed uruchomieniem należy koniecznie, pod groźbą anatemy i utraty gwarancji, przeczytać instrukcję obsługi. Nie mam zielonego pojęcia kto pisze instrukcje obsługi, ale nie są to humanoidy, bo nikt normalny nie posługuje się językiem używanym w tych wydawnictwach.

Ponieważ mam już trochę doświadczenia w sprawach techniki, wiem, że na początek należy rozłożyć na stole wszystkie elementy zawarte w zestawie, czyli kable, dziwaczne wtyczki, itp. To bardzo ułatwia zadanie, gdyż wiemy przynajmniej co mamy, choć jeszcze nie wiemy po jaką cholere. Producent powiadamia nas, że należy wszystko ślicznie połączyć ze sobą (zobacz strona 23 instrukcji) nim puścimy przez urządzenie prąd elektryczny. Ostrzega jednak, że nim przejdziemy do strony o numerze 23 należy przeczytać dokładnie poprzednie 22

strony, bo jeśli nie to wiadomo... więzienie i utrata gwarancji.

Niby nic prostszego, wprawny czytelnik połyka 22 strony tekstu w jakieś 15 minut, ale nie takiego oczywiście. Owe tajemnicze strony zawierają wszelkiego rodzaju informacje dotyczące tego czego nam nie wolno, pisane językiem Navaho. A nie wolno nam wielu rzeczy. Nie należy przegryzać kabli, nie należy odtwarzacza DVD zabierać wraz z narzeczoną pod prysznic, nie wolno używać aparatu fotograficznego do przybijania gwoździ, na komputerze nie należy gotować kapuśniaka, i wielu innych rzeczy które przyszły do głowy fachowcom od prozy instrukcyjnej. Ciekawe z jakiej planety oni do nas przybyli.

W końcu docieramy do obiecującej strony 23 i tu zaczyna się część artystyczna. Dowiadujemy się, że na początek należy kabel NSC17a wsunąć do gniazdka Suv12, na ilustracji (strona 119) oznaczonego numerem 4. Przyglądamy się więc wszystkim kablom i dochodzimy do wniosku, że żaden nie nazywa się NSC17a, ale to nic – wszystko wyjaśni się po przejściu do strony 119, tak przynajmniej nam się wydaje. Na podanej stronie istnieje wprawdzie jakaś ilustracja, ale nie przedstawia ona obiecanego schematu połączenia kabli, a numerem cztery jest oznaczony jakiś klawisz o tajemniczej nazwie MODE. Przerzucamy więc nerwowo strony instrukcji by coś przypomina schemat okablowania znaleźć na stronie 53. Tam rozszyfrujemy który kabel jest prawdopodobnie naszym (choć oznaczony jest numerem 6) i które gniazdko ochrzczone imieniem Suv12. Okazuje się jednak natychmiast, że gniazdo i wtyczka nie pasują do siebie, ale to nie jest przypadek.

Producent powiadamia nas, że jeśli urządzenie będzie używane w systemie ViA/ROM/User-beckPal/Super-Turbo-Stratus-Plug'n'Play, należy użyć interfejsu Via-Beck-77Chinch-Querty2. Nie mamy oczywiście najmniejszego pojęcia w jakim systemie będziemy używać nasz nabytek, gdyż jedyny system jaki znamy to słoneczny system planetarny, a nie Alpha Centauri. Dopasowujemy więc na chybił trafił kable i wtyczki i o dziwo teraz wszystko pasuje do siebie, więc pouczamy nabytek, że od

tej pory będzie pracował w tym... jak mu tam... ViA/ROM... itd.

Pierwszy kabel pasuje jak ulał, pora na drugi o łatwiejszej nazwie SCART, o którym dowiadujemy się, że nie ma go w zestawie, choć producent wrzucił do pudła jeszcze pięć innych, które nie wiadomo do czego służą. Wybieramy się więc z powrotem do sklepu. Chwytamy sprzedawcę za krawat i potrząsając nim nerwowo w różnych kierunkach pytamy czemu nam nie powiedział, że kabla SCART nie ma w zestawie. I w tym momencie powinniście zwrócić uwagę na odpowiedź fachowca, gdyż będzie podstawą waszych stosunków przez następne dwa lata trwania umowy gwarancyjnej. Brzmi ona: „To pan tego nie wiedział, panie gdzie pan żyje?”

CZAS NA JUNIOR MENTORING

Puszczamy subiekta wolno i nabywamy kabel. Sprzedawca charcząc i rozcierając kark wraca do pracy a my do domu. Gdy już wszystko jest Plug, przychodzi czas na Play. Duma nas rozpiera, prąd płynie przez nabytek i... nic się nie dzieje gdyż system powiadamia nas, że należy go jeszcze skonfigurować. Aby tego dokonać, należy nacisnąć wspomniany wcześniej klawisz MODE i jednocześnie siedem innych klawisz, a gdy zapali się zielona dioda należy wciskać kolejno osiem innych klawiszy pamiętając, aby naciskać je nie dłużej niż 12 milisekund, przy czym czwarty nie krócej niż 74 milisekundy.

Po piątej próbie dokonania tego cyrkowego numeru urządzenie migocze feerią kolorowych światełek z przewagą czerwonych, wydaje jakieś dziwaczne ostrzegawcze dźwięki i doprowadza nas do rozpacz. W międzyczasie pojawia się syn sąsiadów, po którego wybrała się żona przestraszona stanem emocjonalnym męża. Mody człowiek przygląda się nam ze sporą dozą szyderstwa w oczach i niby od niechcenia mówi: „Ale pan narobił wiochy, niech pan to da.”

Młodzian przygląda się kablom, instrukcję przydeptuje łaczką, bez trudu przekłada je w inne wtyczki, wyciąga

spomiędzy zębów wykałaczkę i wciska ją w jakiś otwór. „Muszę zresetować, bo pan wszystko rozregulował” – powiadamia. A resetuj sobie gówniarzu, jakżeś taki cwany. Potem smarkacz jedną ręką podciąga raperskie gacie a drugą puka w klawisze pilota z prędkością światła. Po chwili oddaje nam pilota i powiada: „Gotowe!” Wybąkujemy jakieś dziękuję, dziwiąc się skąd ten dupek wie takie rzeczy? Przecież notorycznie nie chodzi do szkoły, bo go szkoła nudzi, jak szczerze opowiada.

GWARANTOWANY BÓL GŁOWY

Jeśli ktoś myśli, że to koniec problemów z nabytkiem to się grubo myli. Urządzenie wprowadzie działa, ale już za trzy tygodnie jakby mniej. Tym razem nie udajemy twardziela, wołamy rapera, ten prezentuje nam nową kombinację pukania w klawisze i po chwili stwierdza: „To ma pan niezły filc!” Nie bardzo rozumiemy co mamy, więc prosimy o przetłumaczenie. Raper zastanawia się nad doborem słownictwa po czym powiadamia, że nabytek jest kaput, a konkretnie chyba roboczy kernel panela WeF/onBoard dał dupy, bo tak miał jego kumpel w tym modelu. „No bomba, to co ja mam zrobić?” – pytamy rapera. „No, nic” – cedzi raper przez wykałaczkę. „Najlepiej zanieś pan ten rupień do sklepu i wymieni na inny” – dodaje. Nic prostszego, tak nam się wydaje.

W sklepie staramy się złapać sprzedawcę, który z niewiadomych przyczyn ucieka przed nami. W końcu zapędzony w jakiś narożnik, pośpiesznie pakuje krawat do kieszeni i pocąc się pyta w czym może nam pomóc i czy to będzie bolało. Wyłuszczamy sprawę, pokazujemy rachunki, a sprzedawca nie wiedzieć dlaczego poci się i bąka coś pod nosem.

Z jego mętnych wypowiedzi wynika, że właśnie przed godziną skończyło nam się prawo do zwrotu naszego drogiego szmelcu. Teraz on, czyli sprzedawca musi owo badziewie wysłać do producenta, który po pierwsze sprawdzi czy nie manipulowaliśmy przy sprzęcie, czy używaliśmy go zgodnie z instrukcją i czy generalnie mamy jakieś prawa do wymagania od niego darmowej

naprawy. Potem gość wypisuje na komputerze jakiś formularz zadając dziesiątki podchwytliwych i niezrozumiałych dla kogokolwiek pytań.

Tym sposobem staje się jasne, że nasza wiedza na temat sprzętu jest bliska zeru bezwzględnemu, co jest znakiem dla fachowca, że może nam wmówić praktycznie każdy bałach. Na koniec dostajemy kwitek i zapewnienie, że sklep działa w najwyższych standardach jakościowych, więc nas niezwłocznie zawiadomią o bohatersko ukończonej naprawie. „Kiedy?” – pytamy sprzedawcę, by się dowiedzieć, że on nie jest jasnowidzem, tylko naszym wysoko kwalifikowanym doradcą w sprawach High-End technology.

Macie pecha jeśli sklep przechwala się, iż ich doradcy przechodzą regularne szkolenia. Jeśli myślicie, że dotyczą one nowych produktów i technologii, to grubo się mylicie. Tych ludzi uczy się tylko dwóch rzeczy, jak wam opchnąć ich szmelc i jak uczynić wszystko by go nie przyjąć do naprawy. Można w zasadzie cieszyć się, jeśli ktoś w ogóle ma ochotę z nami rozmawiać. Często bywa tak, że sprzedawca każe nam się skontaktować bezpośrednio z producentem, pokazując jakiś napis na rachunku napisany mikronowym w swych rozmiarach pismem.

Ale jeśli sklep prowadzi serwis naprawczy, nie cieszcie się jak dzieci, gdyż to dopiero początek drogi. Odeślą was do domu z informacją, że do naprawy musicie dostarczyć WSZYSTKO co było w opakowaniu, gumkę którą był owinięty kabelek też. Gdy przyjdiesz z gumką powiedzą, że to nie ta. Gdy w końcu będzie ta, zażądają podania wszystkich komunikatów na displayu poprzedzających awarię od dnia zakupu do dzisiaj, lub dokładnego opisanie sekwencji świecenia diod, wraz z dokładnym czasem podanym z dokładnością co do dziesiątej części nanosekundy. Możliwości mają olbrzymie.

Po pierwszej naprawie dowiecie się z informacji na rachunku, że naprawa została poczyniona z ich dobrej woli. Po drugiej, że ich dobra wola jest już prawie na wyczerpaniu. Po trzeciej, że już się wyczerpała, gdyż ich cud techniki jest w idealnym

stanie technicznym, a to, że się zepsuł, leży w twoim ekscesywnym i niezgodnym z opisem technicznym korzystaniu z elektroniki charakteryzującej się dużym zaawansowaniem technologicznym.

NO CO, NIE WIDZIAŁ PAN TEGO?

Gdy w końcu odzyskujemy naszą własność, cała zabawa trwa na okrągło jakieś dwa lata, więc z naszym doradcą jesteśmy już prawie przyjaciółmi, choć to mocno toksyczna przyjaźń. Dowiadujemy się kolejno („No co, nie widział pan tego?”), że dopiero po trzeciej naprawie mamy prawo do zwrotu gotówki lub do wymiany śmiecia na coś sensownego, za dwa miesiące, że i owszem po trzeciej naprawie, ale tylko gdy trzy razy była dokładnie ta sama awaria (No co, nie widział pan tego?), a po czternastu miesiącach, że i owszem teraz były wprowadzić trzy te same awarie, ale po dwunastu miesiącach mija obowiązek zwrotu całkowitej sumy zakupu („No co, nie widział pan tego?”).

Radzę więc do punktu serwisowego zabrać ze sobą wspomnianego małolata, nawet gdy trzeba go przekupić. Są trzy powody by to zrobić. Po pierwsze smarkacz ma pojęcie, więc mu żaden sprzedawca bałachu nie wciśnie. Po drugie syn sąsiadów ma wygląd kogoś, kto dwa razy nie pyta czy dać z czapy, gdy czuje się robiony w balona. Po trzecie z powodu drobnych zaległości w przyswajaniu materiału szkolnego, synek jest taki na jakiego wygląda, czyli nad wyraz nerwowy i na swoim punkcie przeczulony.

Autorstwo: Włodek Kostorz

Źródło: MediumPubliczne.pl